

Marian Pankowski

Na brukselskiej slawistyce, czyli polonistyka na obczyźnie

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 39, 127-133

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Marian Pankowski

NA BRUKSELSKIEJ SLAWISTYCE, CZYLI POLONISTYKA NA OBCZYŹNIE

Przypadek... czy przysłowiowy łut szczęścia dały początek wielkiej przygodzie, o której marzyć nie mógł prowincjusz, kiedy po trzech latach niemieckich obozów koncentracyjnych znalazł się w Brukseli, za cały bagaż naukowy mając ośmioletnie gimnazjum sanockie i pierwszy rok polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Przypadek, gdyż na terenie Belgii tylko w Brukseli istniały wtenczas studia slawistyczne, szczęście, gdyż slawistyka potrzebowała lektora języka polskiego... A do tego powojenną odnową filologii słowiańskiej zajmował się przyjaciel Polski, młody Belg, Claude Backvis, żywiący podziw dla naszego XVI wieku, dla naszego renesansu, dla „łacińskości” naszej kultury.

Zacznijmy od opisu slawistyki brukselskiej. Różniła się ona bowiem od innych filologii, obejmując jednym dyplomem rusycystykę i polonistykę. Dyplom końcowy wyliczał więc przedmioty odnoszące się do obu kultur narodowych, dwa języki, dwie literatury etc... Również administracyjnie dyplom różnił się od analogicznych świadectw wydawanych przez uniwersytet magistrów pozostałych filologii: był „naukowy”, podczas gdy tamte były „legalne”. I tylko dyplom „legalny” upoważniał do wejścia na rynek zawodowy, pozwalał znaleźć pracę w szkolnictwie czy w instytucjach państwowych. Innymi słowy, brukselska slawistyka była i pozostaje szkołą marginesową, wiodącą prawie do nikąd...

W kraju ekonomii liberalnej liczyły się wczoraj i dziś nadal liczą się tylko studia prowadzące do zawodów związanych z materialnym bytem społeczeństwa: medycyna, prawo, czy nauki ścisłe. Natomiast kultura – może z wyjątkiem muzyki, faworyzowanej przez Dwór Królewski, była i pozostaje ubogą krewną. Slawistyka należy do kultury!

W latach 80-tych, administrator uniwersytetu brukselskiego, innymi słowy decydent, gdy chodziło o przydział budżetu, nazwał nasz fakultet filozofii i literatury, fakultetem „les blabląbla”, paplaniny! Odbijało się to, niestety, na finansowaniu naszej slawistyki, gdzie jeden profesor oszczędnościowo wykladał literaturę polską i ro-

syjską, wynagradzany według taryfy „marginesowej”. Świadomość faktu „nierynkowości” studiów slawistycznych (to samo odnosiło się do orientalistyki) miała więc wpływ na ilość zapisów na uczelnię.

W Belgii lat 50-tych młodzi marzyli o wyjściu poza tradycyjny świat rodziców, poza szkołę spod znaku francuskiego klasycyzmu, wyposażając młodych obywateli w cytaty z Moliera i La Fontaine’a. Dla niektórych spośród nich, bardziej dojrzałych intelektualnie, reakcją na egoistyczną mieszczańskość społeczeństwa był miraż Rosji! Nic więc dziwnego, że studentów zapisujących się wówczas na slawistykę interesowała wyłącznie rusycystyka, przyciągał ich obraz Rosji, obraz romantyczny, kolorowany, jak w kalejdoskopie, indywidualnym marzeniem... Był to dla nich – jak wczoraj dla ich ojców – mit wielkiego, zagadkowego Wschodu, któremu obok Piotra Wielkiego i Wielkiej Katarzyny... carowali Dostojewski i Czechow, Eisenstein, Szostakowicz i Czajkowski, bohaterska Armia Czerwona i Gagarin!

Zapisując się na brukselską slawistykę, student oczekiwał, że przekroczy bramy rewolucyjnej utopii, niosącej sprawiedliwość społeczną.

Obecność Polski w wyobraźni Belgów była zgoła innej natury. Od przeszło stu lat stała pod znakiem naszych sławnych w Europie dramatów i nieszczęść narodu, naszych powstań i Sybiru... Z tamtych lat pokutowało w zachodnioeuropejskiej pamięci wyrażenie: „*La Pologne martyre*” (Polska męczeńska).

Kiedy już jako lektor języka polskiego zgłosiłem się do dramaturga Michel’a de Ghelderode, żeby uzyskać zgodę na przekład *Hop Signora*¹, jednego z jego dramatów, dla paryskiej „Kultury”, przywitał mnie słowami:

– *Polonais? Pauvre Pologne... La neige ... Les Cosagues...* (Pan Polak...? Biedna Polska... te śniegi, Kozacy)...

Ta żałobna XIX wieczna aura przesłoniła na lata wizję naszego kraju. A melancholijny, czy tragiczny fortepian Szopena wtórował owej wizji... Zaś jedynym utworem literackim znanym i cenionym przez mieszczaństwo na Zachodzie był... *Quo vadis?* Henryka Sienkiewicza.

Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych francuskojęzyczna młodzież belgijska mogła czytać, bądź oglądać na scenie utwory Gombrowicza i Witkacego, czytać liryczną prozę Schulza. Wspaniałej *Konopielki* Edwarda Redlińskiego nie poznali i nie znają nawet dziś, bo jest nieprzetłumaczalna!

Studia slawistyczne w Brukseli, a przede wszystkim interesująca nas polonistyka, były dalszym ciągiem tradycji słowianofilskiej, zapoczątkowanej w latach dwudziestych przez profesora Wacława Lednickiego na Uniwersytecie inauguracyjnym wykładem o poezji dwóch wielkich Słowian: Mickiewicza i Puszkina. Od tego czasu Bruksela zachowała jedyną w Europie podwójną katedrę filologii słowiańskiej. Profesor Backvis, po wojnie, pozostał wierny symbolicz-

nemu patronatowi obu romantyków i wykładał zarówno literaturę polską jak i rosyjską.

Swą strukturą slawistyka nie różniła się od pozostałych filologii: romańskiej czy germańskiej. Mieliśmy wspólne przedmioty: „Wielkie prądy w filozofii: od starożytności do czasów dzisiejszych”, „Historia cywilizacji: od średniowiecza do współczesności”, „Wprowadzenie do głównych literatur nowożytnych”.

Lektorat polskiego i rosyjskiego był pierwszym kontaktem z naszym słowiańskim światem, z jego zasadniczą innością. Studenci mieli po dwie godziny tygodniowo, na każdym roku. Dwie polskiego, dwie rosyjskiego. Było to oczywiście za mało. Mieli więc lekcje prywatne i brali udział w podróży do Polski i Związku Radzieckiego. Były one pewną pomocą; bogaciły słownictwo codzienne, stanowiły okazję do zanurzenia w żywiole mowy...

Dziś, kiedy metody nauczania języków stały się wiedzą, nauczyciel wie i umie pomóc cudzoziemcowi, wie, jak go oswoić z obcym słowem, wie, czego unikać.

Kiedy w latach 50-tych zacząłem pracę lektora, musiałem improwizować! Nie poszedłem w ślady profesora Backvisa, który, jak mi opowiadał, zaczął naukę polskiego... od pierwszego zdania ... *Lalki*, tłumacząc i opisując gramatycznie słowo po słowie deklinacje spotkanych rzeczowników, funkcje słów w składni, no i czasowniki do- i niedokonane. Metoda była, jak mi przyznał, „niefortunna”.

Były jeszcze trudności innej natury! I to nieoczekiwane! Polscy uchodźcy, nawiązując kontakty z Belgami, na pytanie, czy to prawda, że język polski jest bardzo trudny... recytowali z dumą: „Chrząszcz brzmi w trzcinie” i zapraszali Belga do powtórzenia! Biedny obywatel próbował wymówić serię zbitek spółgłoskowych i zrezygnował, przekonany definitywnie o niedostępności naszego języka!... Chyba, że był na tyle inteligentny, żeby sobie przypomnieć, iż w jego francuszczyźnie istnieje zdanie... bliźniacze, o „myśliwym umiejącym upolować swe buty” – *un chasseur sachant chausser ses chaussures*.

Oprócz młodzieży, wczorajszych licealistów, uczyli się polskiego i rosyjskiego młodzi profesorowie gimnazjalni i to wyłącznie... germaniści! Mieli już wykształcenie filologiczne i po prostu bogacili swój багаż indoeuropejski... zainteresowani specyfiką obu języków słowiańskich. Przypuszczam, że z nimi metoda „pierwszego zdania z *Lalki*” mogłaby dać niezłe wyniki.

Niemniej, ostrzeżony wspomnianym przykładem mego poprzednika, wybrałem inną drogę spontanicznie.

Pierwsza lekcja. Na tablicy piszę po kolei słowa: „dom”, „las”, „osa”, „matka”... i zapraszam studentów do lektury w dwu językach. Lektura bezbłędna! Lody przełamane! Wtedy... ku wesołemu zaskoczeniu – rozdaję *Elementarz* Mariana Falskiego: w którym „lis” i „osa” i „Ala” i „las”...

A od następnego tygodnia, równocześnie z *Elementarzem* zaczynam powoli przerabiać *Polish*, samouczek Marii Corbridge-Patkaniowskiej dla Anglików², przerabiać lekcję po lekcji z doskonałej metody, skomponowanej równie inteligentnie jak *Elementarz* – od faktu gramatycznego, łatwego i natychmiast dostępnego – do coraz bardziej złożonego.

Po kilku miesiącach miejsce *Elementarza* zajęła urocza proza dla dzieci Wojciecha Żukrowskiego *Nasz las*³ i zebrane przez redaktorki tygodnika „Kobieta i Życie” pełne poezji... refleksje 2–3 – czteroletnich dzieci, ich „słówka”, wydane pt. *Wiaderko śpiewa*⁴, na przykład:

Dwuletnia Kasia siedzi w oknie i patrzy na oświetloną ulicę. Nagle mówi: „A latarnie, to są dzionki w nocy!” Trzyletni Pawełek: „Jechał czerwony motocykl, a zaraz za nim niedojrzały...” Dwuletni Tomek zobaczył po raz pierwszy bębenek i ze zdumieniem woła: „Wiaderko śpiewa!”

I na koniec: czteroletnia Elżunia zwiedza z rodzicami muzeum. W jednej z sal stoi szkielet. „Co to?” – pyta. „To kości człowieka, który już umarł”. „To do nieba idzie tylko mięsko?”.

Po wakacjach, na drugim roku, obok dalszych lekcji z Patkaniowskiej, klasa czytała i pisała krótkie wypracowania, na tle lektury *Młodego wiatru* Michała Rusinka, książki pełnej mowy codziennej.

Na trzecim roku studenci poznawali prozę Jana Parandowskiego. Tłumaczyli ustępy *Zegara słonecznego*. Mieli dostęp do języka wykształconego; a na czwartym i ostatnim, kiedy już byli zaawansowani w gramatyce, mogliśmy sobie pozwolić na uśmiechniętą lekturę *Słonia* Sławomira Mrożka, czy na opowiadanie Marka Hłaski... Takimi to lekturami starałem się ilustrować gramatykę, jak i... uchylać, tyle – że – tyle, bramkę... na słowo literackie, subtelne, urodziwe, ironiczne, czy brutalne – napisane w imię trwałego piękna.

Przejdźmy do wykładów z literatury. Kierownik slawistyki po wojnie, profesor Claude Backvis, odziedziczył filozofię słowianofilskiego traktowania obu literatur, polskiej i rosyjskiej.

W roku akademickim 1974/1975 na przykład dawał następujące wykłady: „Historia literatury rosyjskiej”, „Cywilizacja i instytucje polskie”, „Zagadnienia z historii Rosji”, „Klasyczna literatura polska”, „Analiza pogłębiona autora rosyjskiego”, „Ćwiczenia z krytyki historycznej historii słowiańskiej”.

Z wykształcenia był filologiem klasycznym. W latach trzydziestych uczęszczał na wykłady, które dawał na Brukselskim Uniwersytecie profesor Wacław Lednicki. Z jego poręki spędził jako stypendysta pracowity rok w Warszawie, co mu pozwoliło poszerzyć dostęp do naszej literatury. Tak zaczęła się kariera samotnego slawisty, jedynego wkrótce specjalisty w zakresie kultury Polski i Rosji na terenie uniwersyteckim w Belgii. Nie mając okazji, żeby uczestniczyć w krajowych dys-

kusjach polonistów, pracował na uboczu, dobierając sobie okresy i autorów według „pokrewieństwa z doboru”. Studia klasyczne wpłynęły na pewno na jego zainteresowanie Polską szlachecką, „łacińską”, humanistyczną... Dziś wiemy, że całe swe życie naukowe Claude Backvis poświęcił badaniu twórczości poetów polskiego renesansu i baroku. Słuchając jego wykładów, miało się wrażenie, że cieszył go przede wszystkim „horacjański”, a potem „włoski” substrakt słowa naszych pisarzy!

Miesiące poświęcał na żywą, błyskotliwą analizę *Nadobnej Paskwaliny* Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, *Psalterza Dawidowego* Jana Kochanowskiego, czy „szekspirowskiej”, jak mówił, *Balladyny*. Z entuzjazmem przytaczał tropy, recytował mozolnie, podkreślając słowa szerokim „sarmackim” gestem!

Autorzy współcześni nie cieszyli się zgoła sympatią profesora. Mam na myśli pisarzy polskich żyjących i tworzących między wojnami: Witkacego, Gombrowicza, Leśmiana, Tuwima i Gałczyńskiego. Młody, początkujący polonista belgijski wyniósł z Warszawy lat trzydziestych, ze środowiska uniwersyteckiego, profesorskiego, uprzedzenie do modnych, a równocześnie kontrowersyjnych autorów! I ten negatywny stosunek zachował do końca...

Po doktoracie poświęconym twórczości Bolesława Leśmiana: *La révolte d'un poète contre les limites* (Bunt poety przeciw granicom), fakultet filozofii i literatury mianował mnie docentem i – na propozycję profesora Backvisa – powierzył mi przygotowanie dwóch wykładów. Pierwszy cykl „Encyklopedia literatury polskiej”, drugi zatytułowany „Polska literatura współczesna”.

Według programu, w pierwszym z wykładów miałem 30 godzin na opisanie dziejów naszej literatury, z pozytywizmem i Młodą Polską włącznie. Idąc uczonym śladem Juliana Krzyżanowskiego starałem się jednak wyjść z bogatej i często anegdotycznej biografii, i mówić raczej o problemach...

Dam dwa przykłady: klasycyzm i barok na wstępie zilustrowałem łatwo dostępnym kontrastem. Gromadce moich studentów pokazałem równocześnie dwie kolorowe strony tygodnika „Elle”. Jedna z fotografii przedstawiała ogród francuski, jego rygor, jego zieloną geometrię, druga natomiast ogród angielski, niesforną, wolną naturę! Poprosiłem o szybkie opowiedzenie się! O wybór! Od tej chwili studenci wiedzieli, na czym polega różnica. Mogłem bez obaw mówić... o Górnickim i... o Pasku, wiedząc, do którego z ogrodów studenci zaproszą pisarza.

Paryskie rozruchy w maju 1968 roku pomogły mi urozmaicić okres romantyzmu. *Ballady i romanse*, prowokacyjnie proste i celowo „gminne”, poprzedziłem insurekcyjnym słowem paryskich studentów. W obu wypadkach był to bunt młodych przeciw społecznej i kulturalnej władzy pokolenia „starych”, które dla nich symbolizowali „ojciec” i „profesor”!

Poza tym różnice były ogromne: wileńscy filomaci byli idealistami; dla nich „dobro powszechne [było] skalą” i „w szczęściu wszystkiego [widzieli] wszystkich cele”... Natomiast młodzi z Sorbony i Nanterre, afiszowali brutalnie swą skrajną, anarchizującą lewicowość! Atakowali „mit ojca” i na ścianach uniwersytetu wypisywali swe oskarżenia.

A oto kilka przykładów: „Papkę, którą napychałeś mnie od dziecka, wyrzygałem na mur!”, „Tej nocy plułem farbą, i powiem ci: życie zaczynam bez ciebie!”, „Jak długo nie powiesz mi, dlaczego żyję, mam gdzieś twe rady, jak powinienem żyć! Ty nie chcesz, żebym szukał... Nie chcesz, żebym odkrywał... Bo ty posiadasz i drżysz...”

Filomaci piętnując profesorskie „szkiełko i oko”, przeciwstawiali mu „czucie i wiarę”. Sto lat po nich paryski student nie poetyzował; wyraził swą myśl bez ogródek: „Staremu, kiedy tu wróci ze swoim wykładem, zabraknie słowa... jeśli się nie nauczył czytać na murach!”

Do drugiego wykładu, poświęconego „Polskiej literaturze nowoczesnej”, wybierałem dzieła, które ujęły mnie nowizną – jak mówił Przyboś – nowizną wyrazu literackiego i szeroko pojętym nonkonformizmem. Na początek, przekornie przedstawiłem portret, a raczej żywot nie-pocziwy Stanisława Przybyszewskiego, który jak nikt spośród naszych pisarzy, ilustruje fin-de-siècle’wy rozstrój, rozkład stulecia... Przedstawiłem amoralnego kabotyna, który berlińską bohemą zaraził dostojny, wyzywający się w żałobnych obchodach ówczesny Kraków... Chwaliłem jego *Totenmesse*, której kwiecistą niemczyznę można by psalmodiować!

Innym razem studenci dowiedzieli się, kim był Żeromski, i jak trudna, wręcz niemożliwa do przetłumaczenia jest jego zmysłowa proza- nie- proza; wystarczy uważnie przeczytać, na głos! pierwszą stronę *Wiernej rzeki*, pod warunkiem, że jest się... z naszych stron...

Ze specjalną uwagą, niemal z pełnym zaangażowaniem dawałem wykład o Bolesławie Leśmianie... Była to też pochwała, pochwała transgresji literackiej, podziw dla jego unikania obrazu świata odziedziczonego, podziw dla przetwarzania słowa... Podkreślałem jakość kompozycji ballad młodopolskich, nabitych agresywną filozofią metafizycznego buntu przeciw Stwórcy, w imię cierpiącego bezsensownie człowieka... Pragnąłem też, żeby mój Leśmian mógł wpłynąć na odbiór naszej poezji na Zachodzie, znanej tam przede wszystkim w roli rzeczniczki losów nieszczęsnego narodu. Pragnąłem pokazać twórczość, której ojczyzną są wyobraźnia i miłość mowy!

Spośród najmłodszych wybrałem dwu bardzo różnych pisarzy: Tadeusza Borowskiego i Edwarda Redlińskiego. Dzięki istniejącym przekładom studenci mogli poznać brutalny, ale pisany w imię prawdy, realizm pierwszego, jego bezpardono-

we ukazanie kacetowej codzienności, bez świętego manicheizmu, wspomnieć jego sławę, kompromisy i smutny koniec.

O *Konopielce* Edwarda Redlińskiego mówiłem jako o nowoczesnej epopei oddającej wiernie uchwycone w czasie przełomu historycznego rysy wsi wschodnioeuropejskiej, epopei osiągającej przy tym wysoki stopień artyzmu! Kilka postaci czyni z musu pierwszy krok w stronę Nowego. Ciesząc się, że ciemnotę wyprze światło elektryczne, że zginie zabobon..., ale niestety i mowa urodziwa, nieczysta, polsko-białoruska, którą, jak proszkiem Omo, umyje stołeczna telewizja...

Minęły lata... lata mijają... Nie żyje twórca sławistyki brukselskiej, profesor Claude Backvis. Za to pozostała mi po nim ważna i cenna lekcja, podejście intelektualne i estetyczne do naszej usakralizowanej literatury, będącej często patriotycznym i estetycznym – i po kapłańsku pretensjonalnym dyskursem do Narodu!

W latach 50-tych, już wtenczas!, profesor Backvis prześwietlał rentgenem doryzmy *Dziadów* Mickiewicza... Przypominał – przytaczając przykład *Sonetów krymskich* i *Beniowskiego* – że poezja jest przede wszystkim kunsztem, a nie rymowanym procesem wytoczonym „carowi” w niebiosach!

Profesorowi Backvisowi, sławistycy, studentkom i studentom belgijskim dziękuję za swe przeżycie intelektualne, niemal że narodowe. Wymawiając dla nich przez kilkadziesiąt lat słowa polskie, słyszałem je „głębiej” niż studenci. Z ojczystej pamięci wynurzały dla mnie różaniec skojarzeń, skłaniały myśl do zejścia w korzenie rodowości. Mowa była mi macierzysta, że choć sam – nie osierociłem.

Warszawa, 2 czerwca 2004

Przypisy redakcji

¹ M. Ghelderode, *Hop Signor!* Dramat w jednym akcie. Autoryzowany przekład M. Pankowskiego, „Kultura”, Paryż 1956, nr 11, s. 61–94.

² M. Corbridge-Patkaniowska, *Essentialis of Polish grammar for English-speaking students*, Glasgow 1944.

³ Brak takiego tytułu wśród utworów Wojciecha Żukrowskiego; chodzi zapewne o tegoż autora: *Słoneczne lato. Opowiadania*, Warszawa 1952; w tomie m.in. opowiadania *Las, Szkołka leśna, Pajęczenie. Pajęczyna*.

⁴ *Wiaderko śpiewa*, pod red. D. Sochackiej-Csato. Przedmowa J. Brzechwa, Warszawa 1961.